

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

provincialnie-ekskluzywne, by mógł im aplikować stale ten sam repertuar szokujących zwierzeń i obrazoburczych poglądów. Toteż przy pierwszej nadarzącej się okazji wyjeżdża z Argentyny i w poszukiwaniu świeżej krwi [nowej publikii] drahuje do kraju Sartre'a (dostaje roczne stypendium-zaproszenie Fundacji Forda finansującej mu pobyt w Europie).

Francja jest wtedy zauroczona Proustem, językowym prestigitatorem i wyobraźniową potęgą na dożywotnim zwolnieniu od zdrowia, Marcellem, do którego Gombrowicz żywi ambiwalentne uczucia. Jak do wszystkiego zresztą, o czym się wypowiada; raz eksploduje uwielbieniem i nieumiarkowanym entuzjazmem, mówi o kimś z respektem, podziwem i ekscytacją, a kiedy indziej – z demonstracyjną przekorą, rezerwą i dystansem, jak gdyby specjalnie uwziął się, by być bulwersantem, gorszycelem, skandalistą.

Raz przeto jawi mu się Proust jako niepośledni umysł, innym razem – jako nieznośny i nadsubtelny wrażliwiec szybujący poniżej swojego talentu.

Jak Proust, tak i Gombrowicz jest nieustannie rozczarowany; oczekiwania przeczą spełnieniom. Mimo to pragnie pójść szlakiem paryskich ulic, znaleźć dom, w którym mieszkał za pierwszego pobytu, odświeżyć w sercu dawne drgnienia, na żywo poznać Jerzego Giedrojcia i jego siedzibę w Maisons Laffitte, pogadać z „Kotem”, wielkim admiratorem jego twórczości, o którym napisał: „Wszystkie wydania moich dzieł w obcych językach powinny być opatrzone pieczętką „dzięki Jeleńskiemu”.

Rozpierają go nostalgii, dręczą echa z czasu młodości, napadają mroczne tęsknoty. Ale rychło się przekonuje, że pragnienia gwizdzą na rzeczywistość: magdalenka, to mit; Paryż zepsiał przez czas jego nieobecności, wydoskonaliał i pokrył się patyną wieku, słowem – stracił wyrafinowanego ducha i obrósł w powagę, a sielankowe domy z młodości skurczyły się bezpowrotnie.

Lecz rozczarowania i zmienne nastroje Gombrowicza biorą się z chimerycznej miłości; kiedy wiódł nierajski przebyt w pampasowych ostępach, przeklinał ów kraj i szydził z niego zawzięcie.

Natrząsał się z jego towarzyskiego blichtru, z maciupkiej literatury o słoniowatych pretensjach. Ale kiedy go opuścił, zapragnął w nim być od nowa. I odtąd Argentyna ma dla niego dwa oblicza.

Pierwsze pochodzi z Dziennika, niemal konfesyjnego utworu, dzieła, z którego wyłania się obraz człowieka zagubionego pośród własnych masek, człowieka o sprzecznych tożsamościach, bezradnego, przerażonego tym, co o sobie naopowiadała, a czego już nie

zdaży zdementować. Tam znęca się nad nią nieprzytomnie.

A drugie, to poetyckie majstersztyki, pejzaże, zapisy doznań i widoków miejsc, po których wędruje plastycznie ciepłymi, wzruszająco poetycki

Kongres futurologiczny

Wielbicieli twórczości Stanisława Lema liczy się w milionach.

Nakłady jego dzieł biją rekordy popularności a utwory znaleźć można w wielu krajach. Wydawałoby się więc, że w ślad za ich znajomością podąży czytelnicza percepcja. Niestety; za często coś się nam wydaje: to, że jest czytany i podziwiany, nie oznacza, że jest rozumiany. A zwłaszcza, że wyciąga się z jego tekstów jakieś sensowne przestrogi. Przeciwnie: czyta się go powierzchownie.

Powiedziałbym nawet, że nie tyle czyta, co pobieżnie wertuje i pilnie wyławia co hecniejsze „kawalki”.

Był w moim życiu podobny epizod: pasjami czytałem fragmenty z dialogami, natomiast ochoczko pomijałem rozwlekłe partie z opisami przyrody. Ale w miarę dorastania owa przyszczata niedomoga uleciała ze mnie i teraz mam ochotę na lekturę.

Na poznanie powodu, dla którego książka została napisana. Na refleksje z jej przesłania i osobiste przeżycia. Indywidualne, jednak wzbogacone dziełami innych twórców poruszających się w obrębie tego samego przesłania. Zmierające w podobnym kierunku, lecz oświetlające problem z innej perspektywy. Myślę tu o pisarzach zajmujących się przyszłością. Jedni, jak Lem, widzą nadchodzący świat jako konsekwencję przeszłości. Przyszłość zdeterminowana Historią przedstawiona jest jako następstwo nieuchronnych wydarzeń, z którymi trzeba się zbratać. Pogodzić, a jednocześnie – próbować zmienić bieg aktualnych wydarzeń. Co nie należy do łatwych zadań i częstokroć, w trakcie lektury, okazuje się, że jest ono – niewykonalne. A niemożliwe do zrealizowania z przyczyn odwiecznej ułomności ludzkiej natury.

Między innymi widać to w Kongresie futurologicznym, utworze napisanym w tonacji minorowej. Pierwszym bohaterem jest Człowiek, Ijon Tichy, drugim natomiast – chemia. Masowe stosowanie halucynogenów. Chemia w społeczeństwie przyszłości wpływa na każdą dziedzinę ludzkiego życia: steruje nim i decyduje o kształcie wszystkich podejmowanych przez niego projektów.

Bohater przebywa w krainie powszechnej szczęśliwości. Nie ma w niej wojen, ludzie są wobec siebie uprzedzająco grzeczni, żyje się wielokrotnie, dzieci uczą się czytania i pisania poprzez zażywanie ortograficznych syropów, prognozę pogody ustala się w drodze głosowania, nie trzeba chodzić do szkoły, bo wiedzę zdobywa się doustnie: zażywając płyn z odpowiednim podręcznikiem.

Z tym, że na skutek zbyt zachłannego przyswajania uczoneści, trzeba brać środki na przeczyszczenie wyobraźni. Ale nie należy sądzić, że jest to Arkadia. Opisany przez Lema świat, w którym znalazł się Tichy, złożony jest z ulud, masek, psychologicznych warstw: wierzch jednej stanowi podszewkę drugiej, a żadna wersja rzeczywistości nie jest ostateczna. Tak, że nie wie, gdzie jest na pewno i nie ma pojęcia, czego doświadcza naprawdę.

W jego otoczeniu trwa nieustanny proces zmian: gwałtowna fermentacja nastrojów, nieustanne ich modyfikowanie, upiększanie, doskonalenie, dostosowywanie otoczenia do wymogów chwili. Otaczający świat jest bez przerwy kreowany, istnieje więc jako rezultat kompromisu, wypadkowa rządzeń losu, emanacja uludy. To psychopatyczna, dziwnie zwielokrotniona wizja świata pokutującego za poprzednio popełnione błędy. A błędy te, są konsekwencją bezkrytycznej, zaślepiającej ufności, wiary w potęgę chemii, w jej magiczną moc. Lecz są to zaledwie wymówki, preteksty, zawile tłumaczenia: wynikają z ludzkiej bezradności. Bo ten zarysowany przez Lema idylliczny pejzaż jest w istocie imitacją, wytworem psychotropów, produktem zażywania proszków, mikstur, legumin i aerozoliowych specyfików rozpylanych w powietrzu.

Ma postać upiorną, a pętający się po nim ludzie wcale nie są grzeczni i nieskazitelni, nie żyją w luksusach i dobrobytach, tylko w nędzy; na skutek długowiecznego życia i częstego zmartwychwstawania na życzenie, ich fizyczny wizerunek to zbiorowisko protez, liszajów i odprysków nadgniętego ciała. Lecz ten widok spryskany jest chemikaliami dającymi sielankowy konterfekt.

Inni, współcześni fantaści, zadowalają się kostiumem, a człowiek, to dla nich dodatek do kozucha. Kontentują się malowaniem przerażających obrazków z nadciągającej rzeczywistości. Prezentują stale te same wizje koszmarnych obcych, złych i dobrych czarodziejów, smoków z laserowym ogniem, jarmarku gwiazdnych wojen o pietruszkę, chaosu i degeneracji; od czasu genialnego Tolkiena obecni autorzy nie wybudowali się z naśladownictwa jego dokonania.

A pan Stanisław jest przede wszystkim humanistą; fantastyka, to dla niego dekoracja. Dlatego dzieła autora Cyberiady sprowadzają nas na ziemię; na pierwszym miejscu nie są więc gwiazdy, próżnia i kosmiczne landszafty, ale bliźni zmuszeni do nierównej walki z Naturą i zardzewiałą technologią. Nie heros, niezwykła i pyszałkowata figurka z komiksu, tylko zwyczajny człowiek: nieraz surrealistyczny, częstokroć doskonały inaczej, lecz górujący rozumem nad głupawą elektroniką, zwyciężający tym, co ludzkie: zdrowym pomysłem i niekwestionowaną inteligencją.

Marek Jastrząb